
Franek

Druga wojna światowa

Druga wojna światowa zapoczątkowana przez III Rzeszę pod rządami Hitlera pozbawiła życia wiele milionów ludzi. Zmiany granic po zakończeniu działań wojennych zmusiły wielu Polaków do opuszczenia swoich rodzinnych stron. Takie miejscowości jak Dawidów, Mołodyłów, Stanisławów Lwów – dotychczas polskie, wcielono do Związku Radzieckiego. Polacy musieli opuścić te tereny, tę masową akcją przesiedleńczą – repatriację - przeprowadzono w latach 1945-46.

Jedną z takich osób, które znalazły się w Spalanej w 1946 roku w wyniku repatriacji, była moja rozmówczyni Pani Jadwiga Podhorodecka. Urodziła się w miejscowości Mołodyłów w 1930 roku. Pani Jadwiga należy do pierwszych osadników przybyłych na zachodnie tereny, ziemie które opuścili Niemcy w wyniku zmiany granic. Jest jedną z najstarszych żyjących mieszkańców Spalanej. Wspólnie z kolegą wybraliśmy się do pani Czesławy, by dowiedzieć się, skąd przybyła na te tereny, jak wyglądało życie na ziemiach zachodnich tuż po zakończeniu działań wojennych. Dowiedzieliśmy się wielu zaskakujących rzeczy.



Zdjęcie podczas wywiadu z naszą rozmówczynią

Historia rodziny pani Czesławy jest niezwykle ciekawa. Rodzina pochodzi z Rzeszowa, rodzice p. Czesławy wyjechali do Stanów Zjednoczonych „za chlebem”. Poznali się właśnie tam i pobrali. W Stanach urodziła się najstarsza siostra. Rodzice w latach trzydziestych powrócili do Polski i kupili dom z kawałkiem ziemi w Mołodyłowie, na tyle starczyło im zarobionych pieniędzy. Po wybuchu II wojny światowej, w wyniku repatriacji stracili wszystko. Najstarsza siostra powróciła do Stanów Zjednoczonych, ponieważ miała obywatelstwo USA z racji urodzenia, tzw. prawo ziemi. Tam też została i nigdy do Polski nie wróciła.

Rodzice wysłali p. Czesławę wraz z rodzeństwem do rodziny w okolice Rzeszowa, by tam przeczekała czas działań wojennych na froncie. U rodziny było bezpieczniej. Rodzice w wyniku repatriacji pierwsi wyruszyli transportem na Ziemię Zachodnią. P. Czesława z krewnymi i rodzeństwem dopiero jakiś czas po nich wyruszyła w drogę na Ziemię Odzyskaną. Z rozmowy z p. Czesławą dowiedzieliśmy się, że transport repatriantów odbywał się pociągami. Były to wagony towarowe, zdarzały się także takie otwarte bez dachu węglarki. Podróż pani Czesławy i jej krewnych trwała ponad tydzień. Podróżowali wagonami towarowymi, w niezbyt komfortowych warunkach. Podczas tej drogi, jak opowiada p. Czesława, zdarzył się wypadek, w trakcie jazdy odpadła jedna ściana wagonu, na szczęście nikomu nic się nie stało. Pani Czesława wspomina, że jedynym zwierzęciem, które udało się im przywieźć ze sobą, była kura. Bardzo się tą kurą opiekowali i chronili, bo w każdej chwili mogli ją skonfiskować żołnierze. Już na miejscu trzymali ją w ukryciu na strychu, by nie padła ofiarą zgłodniałych żołnierzy. Transport przez długie godziny stał w Jaśkowicach Legnickich. Jednak p. Czesława nie wiedziała wtedy, że nieopodal 3 km dalej w Hulewiczach (Spalonej) czekają na nią rodzice. Trudno to sobie teraz wyobrazić, że wówczas bez telefonów komórkowych, rodziny bez problemu odnajdywały się. Wszystko to dzięki przekazom ustnym ludzi, sąsiadów. W Spalonej, która tuż po wojnie nosiła nazwę Hulewicze, było sporo pustych domów, nie było w nich jednak, sprzętów. Rodzice p. Czesławy wybrali sobie dom, w centrum miejscowości. P. Czesława mieszka w nim do dzisiaj, z kolejnym pokoleniem.

Te pierwsze dni nie były bezpieczne. Rodziny długi czas mieszkały w jednym gospodarstwie, na noc dokładnie ryglowano drzwi - obawiano się złodziei plądrujących opuszczone domy, ale także żołnierzy radzieckich. W gromadzie było bezpieczniej. P. Czesława wspomina, jak jej brat wrócił z wojska, wchodził do domu z walizką, a tuż za nim zjawili się żołnierze radzieccy. Nie czekali na otwarcie drzwi, kolbą karabinu rozbili szybę w drzwiach wejściowych. Liczyli, że ma coś cennego w walizce i chcieli mu to odebrać. Trzeba było się mocno tłumaczyć, żeby załagodzić całą sytuację.

Wkrótce po przyjeździe należało zebrać zboże z pól. To zboże zasiali jeszcze niemieccy gospodarze, którzy z kolei musieli opuścić swoją miejscowość. Nie było maszyn, te które pozostawili niemieccy gospodarze były niekompletne, brakowało części, a najczęściej silników, dlatego też wszystkie prace wykonywano ręcznie. Liczyły się każde ręce do pracy. W czasie żniw, sąsiedzi pomagali sobie wzajemnie, zbierano się po kilka, kilkanaście osób (sąsiad-sąsiadowi) i zbierano plony wspólnie. Jeśli ktoś z sąsiadów pomagał w zbiorach danego sąsiada, to trzeba było pójść następnie do niego na "odrobek" za jego pomoc. Za pracę rodziny odwdzięczały się posiłkiem. Pani Czesława wspomina, że jedzenie było proste: chleb, ziemniaki czy zupa, kwaśne mleko. Te wspólne prace przy żniwach czy wykopkach, były okazją do rozmów, nawiązywania przyjaźni, spotkań. Ludzi jednoczyła też wiara. W Spalonej nie było księdza, a na msze przyjeżdżał ksiądz z kościoła pw. św. Trójcy w Legnicy. Po księdza wyjeżdżało rowerami 2 mieszkańców i bezpiecznie eskortowali duchownego do kościoła, Msze odbywały się za każdym razem w innej miejscowości, więc mieszkańcy chodzili to do Bieniowic, to do Golanki, to do Kunic.

W rozmowie zaciekała mnie historia opowiedziana przez p. Czesławę. Kiedy mieszkała jeszcze w Mołodyłowie jej mama pomogła dwóm kobietom żydowskim, które uciekały przed Niemcami. Mama piekła chleb i wyciągnęła gorące bochenki. Było zimno, dwie brudne, wystraszone dziewczyny zapukały do drzwi. Wyglądały na zmarznięte i głodne, mama dała im ten gorący bochenek chleba, zabrały go, podziękowały i uciekły do pobliskiego lasu. Tego dnia mama pani Czesławy uratowała dwa życia. Ta historia miała swoje zaskakujące zakończenie. Po latach jedna z tych kobiet znalazła się w Legnicy, pracowała jako asystentka stomatologa, wspominała, że ten gorący bochenek chleba uratował je przed zamrożeniem.

P. Czesława pomagała rodzicom w gospodarstwie, dni mijały na żmudnej pracy. Pracowała również jako szwaczka w pobliskich Prochowicach. Wkrótce poznała swojego męża, na świecie pojawiły się dzieci, życie w końcu płynęło spokojnym nurtem.

Naszą rozmowę przeprowadzaliśmy tuż po świętach Wielkanocnych.

P. Czesława pokazała nam pisanki jakie każdego roku przygotowuje na święta.



W trakcie naszej rozmowy p. Czesława wspomniała również o p. Janinie Diduch - nauczycielce ze Szkoły Podstawowej w Spalonej. Okazją do tych wspomnień była przykra wiadomość o jej śmierci. Pani Janina była niezwykle osobą, od początku organizowała szkołę w Spalonej i pracowała w niej do 1976 roku. Zesłana do Kazachstanu w czasie wojny, przeżyła ciężkie chwile. Wychowała wiele pokoleń młodych ludzi, zawsze dbała o piękno języka polskiego. Była taką organizatorką życia kulturalnego mieszkańców w Spalonej. Organizowała wycieczki w różne miejsca, zachęcała do udziału w spektaklach teatralnych, w spotkaniach...

Historia pani Czesławy Podhorodeckiej jest podobna do losów wielu Polaków przybyłych na Ziemię Zachodnie po II wojnie światowej. Naszym zadaniem jest ocalić od zapomnienia losy tych zwykłych ludzi. Warto pamiętać o tych pionierach, których z upływem czasu jest coraz mniej. Powinniśmy zwracać się do nich z szacunkiem i pamiętać o nich.

Jak mówi powiedzenie „historia zatacza koło”, tak jak 84 lata temu wybuchła II wojna światowa, tak i teraz na Ukrainie ludzie doświadczają okrucieństwa, głodu i wojny. Oby ten konflikt ponownie nie eskalował na całą Europę.

Wierzę, że dobro znowu zwycięży.



Jedno z najwcześniejszych zdjęć – mieszkańcy Spalonej, na zdjęciu jest ojciec naszej rozmówczyni